

071570 albo 071584

Cena numeru 25 gr.

Nr. 1

Wilno, 18 lutego 1938 r.

Rok XXI

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego Nr. 21 m. 6.

Czynne od g. 12—2 oprócz świąt.

138053

CENA OGŁOSZEŃ:	1/1 strona	— 40 zł.
	1/2 „	— 20 „
	1/4 „	— 10 „
	1/8 „	— 5 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Dwa systemy.

Istnieją dwa systemy ustosunkowywania się narodów „panujących” czyli „państwowych” do narodów im podległych.

Jeden streszcza się w osławionej formule policji rosyjskiej: „taszczył i nie puszczal”. Gwałtem przyciągać do swojej narodowości, narzucając język narodu „panującego” i jednocześnie tłumić rozwój kultury narodowej „mniejszości”—oto zasadnicze momenty tego systemu.

Drugi system polega na dawaniu narodom podległym szerokich praw i możliwości rozwoju kultury narodowej. Taki system, jak wiadomo, był stosowany w Austrii przedwojennej.

W odrodzonej Polsce od samego początku widzieliśmy zwolenników jednego i drugiego. Z ubolewaniem jednak stwierdzić należy, iż w ostatnich latach przewaga należy do stronników systemu pierwszego. Zdaje się, iż jest to wpływ tych nowych ludożerczych doktryn, które stanowią część integralną ideologii faszyzmu i hitleryzmu. Ugrupowania demokratyczne zbyt mało uwagi poświęcają tej kwestji, aczkolwiek właśnie nacjonalizm, coraz bujniej kwitnący w Polsce, przygotowuje grunt dla ideologii faszystowskiej: nienawiści do ludzi innej narodowości i dążenia do ich wytępienia drogą ucisku, które może mieć miejsce tylko tam, gdzie niema szacunku dla człowieka. Dlatego faszyzm we wszystkich swych odmianach jest tak zdecydowanym wrogiem demokracji, którego postawą najistotniejszą jest właśnie poszanowanie w każdym człowieku—Człowieka, bez względu na przynależność narodową, czy rasową.

Należy jednak z punktu widzenia szeroko pojętych interesów państwa i społeczeństwa panującego mieć na widoku jedną zasadniczą prawdę. Prawdę, która zwycięstwo narodowości „państwowej” nad nie-

państwową przeistoczyć z łatwością może w zwycięstwo pyrrhusowe czyli — w klęskę.

Przyciąganie do swojej narodowości elementów obcych drogą „kupowania dusz”—to droga nader niebezpieczna i niepewna. Przedewszystkiem ci kupieni wnoszą moralny rozkład do społeczeństwa panującego stawiając interesy brzucha ponad interesami i sprawami ducha.

Nie dadzą oni natomiast korzyści pozytywnej. Jakich obywateli wychowa dla państwa taki „kupiony” nauczyciel? Czy może mieć jakikolwiek moralny wpływ „kupiony” urzędnik administracyjny lub ów pasterz duchowny, który depce niepodlegające zakwestjonowaniu prawo każdego obywatela słać modły do Stwórcy w matczynej mowie i narzuca swym parafjanom język panujący?. Czy będzie naprawdę dobrym obywatelem państwa młodzieniec, który otrzymał wykształcenie za cenę odstępowania od swej narodowości? Na te pytania retoryczne odpowiedź jest najzupełniej zbędna: nie podlega kwestji, iż system wynarodowiania jest nie tylko szkodliwy dla zdrowej społeczności, lecz i w skutkach swych wprost groźny.

Gdy się przyglądam temu, co się dziś w naszym kraju dzieje, nasuwają się nader posępne refleksje na temat, jaka będzie moralna i społeczna wartość tej młodzieży białoruskiej, którą się wychowuje w specjalnych i szkodliwych warunkach. I oto z przeszłości przedwojennej w carskiej Rosji nasuwają się ciekawe wspomnienia.

Pamiętam, jak na kilka lat przed wybuchem wojny światowej opowiadano o charakterystycznym wydarzeniu. W sztabie W. Ks. Mikołaja Mikołajewicz a pracował pewien kapitan-Polak o wybitnych zdolnościach. Fakt, iż był Polakiem i katolikiem i do tego z godnością zawsze się przyznawał, stanowił nieprzezwyciężoną przeszkodę w awansowaniu jego na wyższe szczeble służbowe. Pewnego razu W. Książę wezwał go do swego gabinetu i wręczył mu oświadczył: „Kapitanie, wiesz, jak ciebie cenimy, ale wiesz rów-

138053



nież, iż twojemu awansowi na pułkownika przeszkadza twoja narodowość i wyznanie. Gdybyś chciał zmienić chociaż wyznanie... Namyśl się i daj mi jutro odpowiedź!" — Nazajutrz kapitan stawił się przed swym zwierzchnikiem z odpowiedzią. Była stanowczo odmowna. Jakież było jednak jego zdziwienie, gdy W. Książę wyciągnął doń rękę i serdecznie uściskał jego prawicę: „Dziękuję ci, pułkowniku! Nie zawiodłem się na tobie!”

Przywykliśmy widzieć w dawnej Rosji jedno tylko zło. A przecie były tam rzeczy, nad którymi nie można przejść milczkiem do porządku dziennego. Do nich należy opowiedziany fakt. Nic też dziwnego; iż cały szereg oficerów-Polaków b. armji rosyjskiej odznaczał się swoją służbistością i męstwem podczas wojny światowej. Rosja uciskała, dusiła, gwałciła swoje mniejszości, ale — nie stawiała sobie za cel ich upadlania. Społeczeństwo rosyjskie dla odstępców i renegatów miało zawsze głęboką pogardę.

Nie szkodziłoby o tem dziś — w przededniu może nowej wojny światowej — stronnikom nacjonalistycznego kursu polityki wewnętrznej w Polsce przypomnieć.

Stary Mińczuk.

Represje, stosowane względem Litwinów w Rzeczypospolitej Polskiej a względem Polaków w Republice Litewskiej, nie ustają. Bodaj osiągnęły już swój punkt kulminacyjny. Chyba niema już w Wileńszczyźnie ani jednego stowarzyszenia litewskiego (z wyjątkiem paru drobnych), któreby nie zostało zawieszona względem ludności polskiej polityka odwetowa. Czyżbyśmy się doczekali rywalizacji dwóch rządów w tej dziedzinie?

Nie mamy dokładnych wiadomości o tem, co się dzieje w Kownie, ale, sądząc z urywkowych doniesień prasy, jest tam stosowana względem ludności polskiej polityka odwetowa. Czyżbyśmy się doczekali rywalizacji dwóch rządów w tej dziedzinie?

Zagadkowa postać.

Pełen sympatji dla ziem litewsko-białoruskich, po kądzieli wnuk słynnego podskarbiego litewskiego Antoniego Tyzenhauza, ś.p. arcybiskup warszawski dr. Wincenty Chościak-Popiel w tomie II swych ciekawych „Pamiętników” (Kraków 1915) opowiada, jak w drodze powrotnej z siedmioletniego wygnania w Nowogrodzie do kraju, zabawił jesienią r. 1875 czas pewien w Petersburgu, mieszkając swoim zwyczajem w duchownej akademji u jej rektora dominikanina o. Dominika Stacewicza.

Przed samym odjazdem ze stolicy nadnewskiej *via* Warszawa do nowej swej biskupiej rezydencji we Włocławku, biskup Popiel chciał zrewanżować się za gościnę gospodarzowi domu i urządził przyjęcie pożegnane. Tak o niem mówi: „Wieczorem zaprosiłem do siebie ks. profesorów i rektora oraz asesora (Kolegium Duchownego) Koryckiego i częstowałem winem węgierskiem, którego kilka butelek na ten cel przywoziłem z Nowogrodu (rodzina i diecezja nie przysyłała mu nieraz z kraju paczki żywnościowej). Rektor (Stacewicz) był bardzo wesół i jako

Jest rzeczą charakterystyczną, że ani po tej, ani po tamtej stronie niema żadnej grupy, któraby postawiła sobie za cel znalezienie jakiegoś wyjścia z obecnej nienormalnej i skrajnie naprężonej sytuacji.

Tylko nieliczne jednostki pozostały wierne tradycjom, którym jeszcze nie tak dawno hołdowała większość miejscowej inteligencji, niezależnie od języka.

Monarchizm operetkowy.

Dla narodów ujarzmionych, które niegdyś żyły życiem państwowem niepodległym, osoba monarchy jest częstokroć uosobieniem dawnej państwowości. Stąd u takich narodów bierze początek ruch monarchiczny.

Ukraińcy stosunkowo niedawno mieli swoich osobliwych suwerenów — hetmanów. Lud zachował pamięć o nich w pieśniach — legendach. Poezja ukraińska ze swej strony apoteozowała przeszłość suwerenną narodu, idealizując hetmańszczyznę. To też nawet wśród robotników ukraińskich — daleko od ojczyzny zatrudnionych — gdzieś w Kanadzie lub Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej — akcja monarchistów ukraińskich znajduje podobno pewien oddźwięk przychylny.

Dyskredytuje ukraiński ruch monarchiczny osoba ewentualnego suwerena — hetmana Skoropadskiego. Były generał rosyjski, narzucony Ukrainie przez okupantów niemieckich po rozpędzeniu siłą orężną Wielkiej Rady Ukrainy, zbudowanej na zasadach parlamentarnych, ten „suweren z obcej łaski” nie zdołał zyskać sympatji ani wśród inteligencji ukraińskiej, ani wśród ludu. Zdradzał ponadto wyraźnie rosyjskie sympatje białogwardyjskie i wespół z Krasnowym projektował pochód na Moskwę celem przywrócenia monarchji. Gdy zaś protektorowie niemieccy, po wybuchu w Berlinie rewolucji, pozostawili swoją kreaturę bez pomocy militarnej, Ukraińcy, sromotnie wygnali hetmana ze stolicy kraju i powrócili do ustroju demokratycznego.

Nic więc dziwnego, iż osoba Skoropadskiego nie

Białorusin opowiadał najzabawniejsze facecje tym dziwnym białoruskim językiem, który w wyrażeniach ma tyle dosadności, a że nie posiada prawie literatury piśmiennej, cała więc się mieści w tych opowiadaniach, których już człowiek gdzieindziej zrodzony naśladować nie potrafi”...

Warto się przyjrzeć ciekawej sylwetce rektora Stacewicza. Cechowała go, oczywiście, poza godzinami zabawy, jakaś wymuszona sztywność i mało ujmująca postawa, „Blady, szczupły, z wargami ściętymi, mógł prawdziwie służyć za jaką ilustrację sędziów inkwizycji hiszpańskiej...” — tak go odmalowuje tenże bp Popiel.

Kontynuator znowu Pierlinga, francuski jezuita historyk o. Adriań Boudou w swej dwutomowej pracy „Stolica Święta i Rosja” (Kraków 1930) dorzuca nowe rysy: „Przez wybitną inteligencję i rozległą wiedzę wyrastał ponad środowisko, gdzie nie było zbyt wielu dobrych teologów. Był to człowiek wysokiego wzrostu, chudy i suchy, o twarzy surowej i chmurnej... W sferach rządowych cieszył się opinią człowieka, mającego dużo taktu, roztropności oraz zdrowego sądu, przytem nie fanatyka... Uroczystości

może skupić emigracji ukraińskiej zagranicą. Istnieje więc tam—obok usuniętego przez lud „suwerena” — emigracyjny rząd „Ukraińskiej Narodowej Republiki”, jako ekspozytura tej siły, która obaliła Skoropadskiego. B. hetman, przebywający stale w Berlinie, nie może się pochwalić znacznie większą ilością popleczników w Europie i szuka ich za oceanem, jak nas informują, z większym niż w Europie skutkiem. Wiadomo że w Kanadzie przebywa obecnie syn Skoropadskiego.

W związku z ukraińskim ruchem monarchicznym pozostaje i monarchizm białoruski. Idea monarchiczna ma na Białorusi jeszcze słabszy grunt, niż na Ukrainie, gdyż istnienie suwerenów narodowych odsuwa się tu w bardziej odległą przeszłość. Nie znamy też żadnej białoruskiej grupy czy nawet grupki społecznej, któraby stawiała w swym programie postulat wprowadzenia ustroju monarchicznego. Gdy przed wybuchem rewolucji w Niemczech niemieckie czynniki polityczne wysuwały koncepcję utworzenia z Litwy i części Zachodniej Białorusi monarchji z księciem bawarskim Urachem na tronie, społeczeństwo białoruskie odniosło się do tej koncepcji stanowczo negatywnie.

Koncepcja wprowadzenia ustroju monarchicznego na Białorusi wypłynęła z Kijowa. W otoczeniu Skoropadskiego poważnie zastanawiano się nad tem, by z niepodległą monarchją ukraińską związać również ziemie białoruskie, dla których był desygnowany nawet hetmański namiestnik. Był to jeden z „młodych” generałów rosyjskich, niejaki Daszkiewicz-Horbacki, który brał czynny udział w osadzeniu Skoropadskiego na stolcu hetmańskim, lecz ze względu na swoją bezradność nie mógł znaleźć dla siebie na Ukrainie odpowiadającego jego „zasługom” stanowiska.

Właśnie w jesieni r. 1918 bawiła w Kijowie delegacja Rady Białoruskiej Republiki Ludowej. Pewnego dnia odwiedził delegację duchowny prawosławny o. Razumowicz, Białorusin, który przed wojną światową był proboszczem w Kozianach pow. Dziśnieńskiego i swoją działalnością społeczną ściągnął na siebie niezadowolone i represje ze strony administracji rosyjskiej. Oświadczył on, iż gen. Daszkiewicz-Horbacki pragnie nawiązać z delegacją kontakt. Delega-

cja zgodziła się na spotkanie z nim, i oto w czasie rozmowy wyjaśniło się, jakie plany w stosunku do Białorusi snuje hetman Skoropadski: od Białorusi zamierzał on rozpocząć zbieranie „ziemi ruskiej”, mając bazę w Kijowie...

Przybyli z Mińska delegaci białoruscy potraktowali cały ten projekt wprost humorystycznie. Oświadczyli oni swemu niedoszłemu wielkorządcy, iż winien on raczej pokusić się o samodzielną władzę na Białorusi, jako suweren narodowy. Idea ta, acz wypowiedziana żartem, ogromnie się podobała Daszkiewicz-Horbackiemu; przypomniał on swoim rozmówcom Lubomirskiego—w chwili, gdy go „wziął na haczyk” imię pan Zagłoba...

Zaznaczyć mimochodem wypada, iż na konferencjach delegacji białoruskiej z przyszłym dyrektorem Ukrainy, który się tworzył pod bokiem Skoropadskiego, federacyjna koncepcja hetmana była przez obydwie strony z rozmów całkowicie wyeliminowana.

Istniał w okresie okupacji niemieckiej jeszcze jeden pretendent do tronu niepodległej Białorusi, jeszcze bardziej humorystyczny od owego generała rosyjsko-ukraińskiego. W niemieckich wojskach lotniczych służył niejaki „Książ Stanisław Sapięha-Woj.”, który jako lotnik miał wykazać (wg. prasy niemieckiej) wielką odwagę i zimną krew, znalazłszy się podczas pewnego lotu wywiadowczego za linjami wrogów bez kropli benzyny. Z opresji tej wyszedł szczęśliwie i zdołał wylądować na swoim terenie—na oczach armii nieprzyjacielskiej. Kim był ten osobnik o bardzo niskiej inteligencji, jak trafił on do szeregów armii niemieckiej, trudno ustalić. Opowiadano, iż pochodził on z Mińska i nazywał się tam poprostu *Staszek Woj.* W wyniku jakiejś awantury w okresie młodzieńczym uciekł on ze swego rodzinnego miasta zagranicę, gdzie po długich perypetjach stał się niemieckim lotnikiem.

Ten to kandydat na tron białoruski zasypywał swemi pismami działaczy białoruskich w Wilnie, lecz nie znalazł ani jednego poplecznika. Niemcy otwarci go nie popierali, lecz pewne czynniki starały się sugerować Białorusinom myśl o wykorzystaniu osoby „kniazia” dla celów politycznych. Nie odniosło i to żąd-

szkolne, egzaminy, obchody publiczne, *Te Deum*, i t. d. dawały mu możliwość spotykania się z najwybitniejszymi osobistościami, z ministrami, z generałami, wielkimi księżętami, samym cesarzem. Zarówno Mikołaj I, jak i Aleksander II, znali go osobiście; razu pewnego odezwała się doń cesarzowa Marja temi słowy: „Chcielibyśmy więcej księży podobnych Panu!” Wpływy rektora Stacewicza sięgały znacznie dalej niż mowy akademickie, bowiem nie kto inny wysunął i przeprowadził kandydaturę biskupa wileńskiego Wacława Żylińskiego (1848—1856) na arcybiskupa mohylowskiego. Stąd przemożne oddziaływanie jego tak na kierunek rządów arcybiskupa Żylińskiego, jak i jego następcy biskupa Staniewskiego (też dominikanina).

Był też autorem szeregu podręczników religijnych. Któż ze starszej generacji, uczęszczającej do gimnazjów rosyjskich, nie pamięta tego suchego podręcznika *patera Stacewicza* w języku rosyjskim, skąd trzeba było się uczyć na pamięć różnych ciężkich definicji?!... Wielotysięczne zastępy młodzieży przez kilkadziesiąt lat uczyły się zeń, dla braku innych w języku ojczystym, których nie było i być wtedy *nie mogło*.

„Naogół „Stacewicz działał w dobrej wierze i zdaje się nie zasługiwał na zarzut hipokryzji”, mówi o nim cytowany Boudou. Narówni z wieloma duchownymi swego czasu w zaborze rosyjskim hołdował on swoistemu józefinizmowi, który tłumaczy jego legitymizm i rusofilstwo, jakie czasem przekraczały nieco granice należyte. Narzędziem tego józefinizmu było głównie petersburskie Duchowne Kolegium—institucja antykanoniczna, istna „trawestacja Świętobliwego Synodu” (Boudou), gdzie o. Stacewicz był właśnie drugim członkiem.

O. Stacewicz był tak dobrze widziany u dworu rosyjskiego, iż naturalnie chciano go uczynić biskupem. Sprawa ta powstała około r. 1862. Czy spodziewano się łatwiejszego przeprowadzenia jego kandydatury po osobistej jego bytności w Rzymie, gdzie mógł dać się poznać i ocenić? „W r. 1862, za pozwoleniem, a być może i rozkazem rządu, Stacewicz towarzyszy biskupowi łucko-żytomierskiemu Borowskiemu, jako przedstawicielowi episkopatu katolickiego w Rosji podczas uroczystości kanonizacji męczenników japońskich...” —pisze o. Boudou. W Rzymie ks. Stacewicz nie usiłował wprowadzić nikogo w błąd

nego skutku, a wybuch rewolucji w Niemczech położył kres ambitnym marzeniom Woja. Gdy na początku roku 1919 przybyła do Berlina misja dyplomatyczna Białoruskiej Republiki Ludowej, „kniaź” dał się jej poznać osobiście i uprzejmie załatwiał drobne polecenia członków misji — przy wyszukaniu odpowiedniego lokalu, nabywaniu niezbędnych artykułów i t.p. Wybitny brak inteligencji usuwał wszelką możliwość wykorzystania osoby „kniazia” w pracach politycznych.

Kilka (a może kilkanaście) lat temu pewien działacz ukraiński, prowadzący w Stanach Zjednoczonych akcję monarchiczną z ramienia i na rzecz b. hetmana Skoropadskiego, nawiązał również kontakt z emigracyjnymi działaczami białoruskimi. Poinformowali oni wówczas białoruski ośrodek polityczny w Wilnie, prosząc o dyrektywę, jak mają się do tej akcji ustosunkować. Odpowiedź Wilna wykluczała możliwość jakiegokolwiek białoruskiej akcji politycznej pod sztandarem monarchizmu.

A. Ł.

P. W. Charkiewicz nie przestaje w „Słowie” atakować naszego pisma na tle zagadnienia obrządku wschodniego, tym razem zarzucając nam anonimowość w artykułach na ten temat. Zarzut bezsensowny, gdyż wszystkie artykuły i wzmianki z tej dziedziny w „Przeglądzie Wileńskim” albo są podpisane przezroczystymi pseudonimami, które dla p. Charkiewicza napewno nie stanowią zagadki, albo ukazują się bez podpisu, a w takim razie autorem ich jest L. Abramowicz, będący redaktorem pisma nie tylko odpowiedzialnym, ale i faktycznym, o czym prezes Syndykatu Dziennikarzy Wileńskich doskonale wie.

W obronie p. Charkiewicza wystąpił jeszcze przedtem w „Słowie” p. Cat, nazywając „śmieszem” nasze twierdzenie (w Nrze 9 „P. W.”), że żaden Syndykat Dziennikarzy nie posiada podobnie stronniczego prezesa, albowiem „kwestja obrządku wschodniego w niczem się ze sprawami zawodowemi dziennikarstwa nie wiąże”. Ależ oczywiście! Potraktowaliśmy ostro wystąpienie p. Charkiewicza nie za jego ujemną ocenę obrządku wschodniego, ale za jego niesmaczne uwagi o „Przeglądzie Wileńskim”, na które nie może sobie pozwolić żaden poważny publicysta. Przynajmniej tak dawniej bywało. Widocznie teraz są inne czasy pod każdym względem.

i nie tał się ze swymi poglądami. Do tego doszły różne pisane nań do Rzymu skargi i prośbom donosy, skutkiem czego konferencja jego z sekretarzem kongregacji do spraw duchownych msgr. Franchim pogrzebała ostatecznie jego kandydaturę na biskupa.

Jeszcze gorszy obrót przybrały rzeczy podczas audjencji poźegnalnej u niepozbanionego humoru papieża Piusa IX, który wyjmując swój portret z biurka, zapytał o Stacewicza: „Czy Ojciec chce, bym napisał cokolwiek?”, na co ten rzekł czołobitnie: „Słowa, napisane ręką Waszej Świątobliwości będą dla mnie nieustannym wspomnieniem”. Wówczas Papież napisał następujące słowa: *Nolite claudicare in duas partes* (Nie chcecie chromać na dwie strony). Upokorzenie to o. Stacewicz przyjął i zniósł z godnością a swój pobyt w Rzymie nazywał bardzo dla siebie budującym i pouczającym.

Raz wytworzonego o nim ujemnego zdania Pius IX nie zmienił i później, bo w r. 1869 podczas jednej audjencji prywatnej wyraził się o ks. Stacewicz: „*Quello li è un ipocrita*—To hipokryta. Przybył, by mnie odwiedzić, przywiózł relikwię Boboli (zapewne z Połocka), ale jest to hipokryta”. W liście

Niemcy katolicy w Wilnie.

Wierny swojej ideologii krajowej „Przegląd Wileński” interesował się zawsze życiem grupującej się koło kościoła św. Anny w Wilnie gminy miemiecko-katolickiej. Tylko lat parę temu drukowaliśmy retrospektywny artykuł naogół o udziale Niemców w kulturalnym rozwoju m. Wilna (magistrat, cechy*), kupiectwo), potem podawaliśmy, na podstawie ksiąg rachunkowych kongregacji św. Marcina przy św. Annie, personalia, dotyczące tak dawnych wileńskich kaznodziejów *linguae germanae*, jak członków tej kongregacji, wreszcie ogłosiliśmy nowe a cenne, bo źródłowe przyczynki do dziejów cmentarza pobernardyńskiego, jakie prowadzi badaczka znowu do archiwum kościoła św. Anny.

Pomni pięknej przeszłości gminy niemiecko-katolickiej w Wilnie, nie mogliśmy nie boleć nad jawnym jej upadkiem w bieżącym stuleciu. Upadek był tak wielki, że niczem się nie różnił od agonji. Doszło do tego, że zaczęli już w latach ostatnich ci i owi wyciągać ręce po kościół św. Anny, jako obiekt porzucony, rzecz bezpańską...

Nie są też bez winy sami wileńscy Niemcy katolicy. Jedni zasymilowali się bez reszty, drudzy zubożeli na sprawy swojego kościoła i gminy, jeszcze inni narzekali tylko gorąco na sytuację i zaglądali czasem nawet do zboru luterańskiego przy ul. Niemieckiej. Nie mogły bowiem im przypadać do gustu tak często ubogie w treść, nieraz nieudatne swą formą, zato prawie zawsze nasycone do zbytku patriotyczną tromtadracją polskie kazania w większości kościołów wileńskich w dobie powojennej. Słyszeliśmy wyraźne żale i skargi na ten *polnischer Klatsch*, nie miły dla trzeźwego ucha Niemców.

Gdy rzeczywistość była tak całkiem smutna i wcale nie zanosilo się na lepiej, byliśmy coś przed laty dziesięciu niemile zaskoczeni nieoczekiwanem

*) Świeżo przeglądaliśmy dziennik jednego stolarza wileńskiego z przed pół wieku, co nas jeszcze bardziej utwierdziło w tem, że życie wileńskiego rzemieślnika kształtowało się pod wpływem niemieckich cechów.

znowu do administratora archidiecezji mohylowskiej bpa Staniewskiego w Petersburgu, Pius IX jeszcze ostrzej wyraził się w uniesieniu o ks. Stacewiczu, przypisując mu „największą bezszczerność” i nazywając go „doradcą nieszczęsnym” oraz „nędznikiem”.

Rektor Stacewicz nie był człowiekiem łatwym dla podwładnych, jak o tem świadczy chociażby incydent z wymaganiem złożenia natychmiast przepisanej prawem rządowym przysięgi wierności cesarzowi, od dwóch nowoprzybyłych po studjach zagranicą do akademii profesorów ks. Franciszka Albina Symona i Antoniego Baranowskiego (Baronasa), późniejszego biskupa sejneńskiego. Za opór obaj zostali z punktu ostro zganieni przez ks. Stacewicza.

Jeszcze raz wysunęła się kandydatura rektora Stacewicza na sufragana mohylowskiego w r. 1876, gdy ówczesny arcybiskup Fijałkowski, inspirowany zapewne przez rząd, prosił o to Stolicę Apostolską. Jednak bez skutku, poczem rychło przysłała już śmierć nieposłusznego kandydata w kwietniu (według o. Boudou) lub 3 czerwca (według Wołyniaka) 1876 r., wyzwalając go raz na zawsze z udziału w nieustannych

ukazaniem się komunikatu *Kap'u*, który obwieszczał nietylko Rzeczypospolitej całej, lecz w swem wydaniu zagranicznym i Europie, że w Wilnie u św. Anny stale co niedziela i święto odbywają się msze święte i są wygłaszane kazania po niemiecku! W tym komunikacie nie było ani słowa prawdy — wszystko było zmyślane i brzmiało jak szyderstwo. I komu to było potrzebne, wszak *nemo gratis mendax?*...

Autochtoniczna grupa Niemców katolików w Wilnie otrzymała w latach ostatnich dopływ nowych a świeżych sił w szeregu swoich rodaków i rodaczek, co przybyli do Wilna w charakterze urzędników, nauczycieli i in.

Dziś, gdy zrzeszająca Niemców katolików *St.-Martins Kongregation* przy św. Annie w Wilnie obudziła się z letargu, ma — od Bożego Narodzenia zapewnione przez cały rok raz na miesiąc w ustalonych terminach nabożeństwa niemieckie i poczyna porządkować swoje sprawy majątkowe, życzyć jej wypada, by rosła ilościowo i jakościowo, pielęgnowała swe duchowe oblicze i godnie reprezentowała swe sławne kilkowiekowe tradycje.

Sonderling.

FELJETON

Wścieklizna w powietrzu.

Przeczytałem dnia 17.I.38. w jednej z gazet wileńskich, że „*Starosta grodzki ogłosił teren m. Wilna za zapowietrzony wścieklizną*”. Rewelacja ta uderzyła we mnie, niczem grom z jasnego nieba. Biedne nasze miasto!.. Dotychczas coprawda ludziska też wściekali się w Wilnie, a przynajmniej postępowali czasem, jakby się wściekli, ale nie ciągle i nie wszyscy. Tłomaczyliśmy sobie objawy wścieklizny rozmaicie, najczęściej jednak — przeniknięciem zarazków z chorego organizmu do zdrowego przy bezpośrednim zetknięciu się, jak to bywa z kiłą i innymi brzydkimi chorobami. Był coprawda jeden pan, który twierdził, że złapał taką chorobkę dlatego, że coś tam robił pod wiatr,

t. j. z powietrza, ale mu nikt nie uwierzył, oprócz własnej jego żony. Pocziwa niewiasta mówiła w zaufaniu swoim przyjaciółkom, aby uprzedziły swoich mężów, żeby zwracali zawsze uwagę na kierunek wiatru.

A tutaj okazuje się, że zarazki wścieklizny wileńskiej fruują w powietrzu, jak bakcyle dżumy, dyfterytu lub anginy. Proszą się nie śmiać — fakt jest bezsporny, bo przecież urzędowo stwierdzony. Skutki mogą być fatalne. Spróbujesz rano otworzyć lufcik, aż ci tu wraz z falami świeżego powietrza wtargną do pokoju całe stada wściekłych bakcyliów, bakteryj i miazmatów, niczem roje rozżartych pszczoł. I gdzie się schronisz, nieszczęsny Wileńczuku, kiedy zaraza jest w powietrzu, jak niegdyś w Grenadzie?..

Wyobrażam sobie dalsze następstwa tej strasznej choroby.

Powściekani Żydzi poustawiają we drzwiach swoich sklepów tęgich drabów, uzbrojonych w pałki, którzy każdego chrześcijanina, chcącego wejść do ich sklepu — buch przez łeb, aby u nich nie kupował, bo w myśl rozwścieczonej teorii Monroego, żydowskie sklepy mogą obsługiwać tylko Żydów.

Białorusini ze wściekłą furją zamkną na trzy spusty swój Narodowy Komitet Białoruski, ogłaszając całemu światu, że nie chcą już więcej być Białorusinami, bo mają dość tej przyjemności. Utalentowany poeta białoruski Tank — przekreśli swój piękny poemat „*Narocz*” i napisze jeszcze piękniejszą epopeję zaczynając stę od słów:

O, *Narocz*, perło staropolskich wód,
Kiedyż, ach kiedy ziści się ten cud,
Że nasz rybacki, *naroczański* lud
Piać będzie *krakowiaki*, choćby z nut..

Czy nie wspaniałe?.. Jeżeli się nawet komuś nie spodoba forma, to przecież treścią, a zwłaszcza tendencją, każdy się chyba zachwyci. W przeciwnym razie — niech zginie od miotającej się w powietrzu wścieklizny.

Co do Litwinów — ci dawno już i gruntownie się powściekali. Pozamykali gwałtownie wszystkie swoje Rytasy, św. Kazimierzów i wszystko, co litewskim jest. Widocznie epidemją wcześniej ich ogarnęła, zanim starosta wileński zdążył ogłosić teren Wilna za

przy obsadzaniu wysokich stanowisk kościelnych tarciami intryg z zasługami.

Historyk archidiecezji mohylowskiej ks. Jan Wasilewski oddaje należne ascetyzmowi ks. Stacewicza w życiu prywatnym, obciąża jego konto czynnym udziałem w akcji rusyfikatorskiej na Białorusi. Gdy tak ujemnie przedstawiają o Stacewicza świadectwa powyższe, zwłaszcza ostatnio przytoczone, nie brak jednak głosów innych. Oto autor świetnego życiorysu biskupa sejneńskiego Konstantego Łubieńskiego, znający osobiście i stykający się z nim w Petersburgu niejednokrotnie, nazywa go człowiekiem „osobiście bardzo surowych obyczajów... umysłem prawie ascetycznym... o wiele więcej od wszystkich swoich współbraci wykształconym i zakon swój bardzo kochającym”... Jeśli porównamy ostatni sąd o ks. Stacewiczu z poprzednimi, stwierdzimy rozbieżność znaczną. Co ciekawsze, nie mają wyrobionego ostatecznie sądu ani znający go arcybiskup Symon, ani idący w ślad z nim o Boudou. Postać ta, jeśli chodzi o całość jej działalności, musi czekać na bezstronne wyświetlenie przez przyszłych historyków Kościoła nas.

Na razie poprzestać musimy na suchych danych biograficznych. Kolebka Stacewicza stała w Lepelszczyźnie, wystawionej na silne ongi promieniowanie tradycyj książęcego Połocka, jego szkół naogół, a akademii w pierwszym rzędzie (nawet obcy historycy nazywają Połock *Atenami Białorusi*). Fakt istnienia w ziemi witebskiej zwyczaju starodawnego głoszenia kazań w kościołach po białorusku jest niewątpliwy i przynajmniej go bez zastrzeżeń nawet polscy historycy Kościoła u nas, jak Kurczewski, Falkowski. W takim oto ciekawym zakątku Białorusi, który przechował spuściznę wieków, urodził się w r. 1809 i wyrósł Dominik Stacewicz.

Do szkoły powiatowej uczęszczał w Orszy, jednym ze starych grodów Wschodniej Białorusi. Szkołę tę prowadził zakon dominikanów, który w przeciwieństwie do prawie całkowicie spolszczonych już wówczas bazylianów, był bez porównania bardziej żyty z białoruskością i ujawniał znajomość mowy białoruskiej głośno, jak to widać z przekazanych nam kilku przykładów, że wymieni tu nazwiska takich ojców, jak Magnuszewski, Kociakowski (ulubionem jego przyśłowiem było: *Nie chwaliś, a Bohu maliś*) i in.

W takiej oto szkole młody Dominik przechodził

zapowietrzony. Niektórzy tylko źle pozamykali swoje okazy numizmatyczne. Czy to nie lepiej być filatelistą? Żyje się spokojnie, a najlepiej zostać filozofem, który wie, że wszystko, co się zamyka, będzie kiedyś otworzone i wszystko, co się otwiera, będzie kiedyś pozamykane. Taki jest rytm świata.

Współcześni uczeni twierdzą, że zarazki wścieklizny nie mogą się żadną miarą przedostać na falach eteru. Mam jednak co do tego stanowiska nauki grubą wątpliwość. Bo dlaczegoż to nieraz zupełnie normalny i zdrowy człowiek nastawi głośnik lub nałoży słuchawki i po pewnym czasie staje się kompletnie wściekły. Z pianą w ustach, a to pewny symptomat, groźnie zlorzeczy: — „Ot tobie i audycja, sam djabeł nie zrozumie!” I nietylko on jeden, ale czasami sąsiad jego dostaje także szalu wścieklizny. Bije w ściany i ryczy przez drzwi: — „Zamknij pan do jasnej zarazy ten głośnik, bo zamorduję, albo gorzej jeszcze — policję sprowadzę. Wściec się można”.. Nieszczęśnik, on niewie, że już się zaraził.

W tej nieświadomości właśnie tkwi tragizm zarazy wileńskiej.

Bolesław Szyszkowski

Piszą do nas.

ZŁOŚLIWY ELEMENT.

Przed kilku dniami otrzymałem wycinek z wileńskiego „Słowa” z artykułem niejakiego (X) o „Ojcu radzimickiego ruchu” Edmundzie Susemihlu z Królewca. Czytając ten elaborat, stwierdziłem z przykrością, że poza osądem patologicznego stanu autora rozsyłanych z Królewca kart, jest on wybitnie tendencyjny a niezgodny z rzeczywistością tam, gdzie chodzi o wewnętrzne sprawy białoruskie.

Tak nieprawdą wierutną jest, że autor pierwszej gramatyki białoruskiej, a więc ja, byłem najbardziej uległym Susemihlowi. Jakże mogłem ulegać temu, któremu ledwie kilka razy widział, z którym zamie-

niłem tylko słów kilka i od którego nigdy nie otrzymałem żadnych dyrektyw?! Zresztą znaczną część czasu wojny światowej spędziłem daleko od Wilna, bo w Swisłoczy Wołkowyskiej, pochłonięty pracą całkiem apolityczną, jako starszy wykładowca tamecznego seminarjum nauczycielskiego i ojciec licznej rodziny. Jeśliby i byli tacy w Wilnie, co mu ulegali i pisali pod dyktando, nie uważałbym tego za jakieś przestępstwo i napewno nie pisałbym o tem do tak lekceważącego Białorusinów organu, jak wileńskie „Słowo”, w którym jednak p. (X) stale współpracuje. Podczas bowiem okupacji niemieckiej naród białoruski znalazł się w sytuacji iście tragicznej, tonący zaś chwyta nawet za brzytwę, jeśli mu życie miłe.

Również nieprawdą jest, że pierwsza gramatyka białoruska wyszła przy pomocy Susemihla. Rzecz oczywista, że musiała przejść cenzurę niemiecką, by mogła ukazać się w druku. Jednak brał w tem ocenianiu udział też pewien Białorusin.

Wreszcie (X) wytknął mi brak kwalifikacji filologicznych. W dużej mierze przyjmuję ten zarzut. Istotnie moja gramatyka białoruska była tylko pierwszą a skromną próbą, a wiadomo „pierwsze koty za płoty”. Pozwolę jednak sobie zapytać, czy i jacy filologowie kwalifikowani byli pośród Białorusinów czasu okupacji w Wilnie. Byli tam: jeden inżynier, jeden aktor, jeden archeolog, jeden przyrodnik, paru duchownych, jeden ziemianin, jeden b. oficer, jeden naczelnik straży ogniowej, nawet jeden naczelnik taboru asenizacyjnego... słowem *omne genus musicorum*, nie widzą tylko jakoś filologa specjalisty (bo nie o dyletantach tu mowa). Byłbym naprawdę wdzięczny moim nieubłaganym krytykom za wskazanie mi go z imienia i nazwiska.

Pracuję dziś nad czem innym, poważniejszym a pożyteczniejszym, niż tak, niestety, częsta wśród Białorusinów wileńskich *hryźnia*. Szkoda, że nie chcą, czy też nie umieją robić nic lepszego.

Ks. Bolesław Poczopko.

p. Święta Wola
m. Bobrowicze.

kurs nauk pod „dominikańską twardą dyscypliną” (Syrokomla), która jednak wcale nie odstraszyła pilnego do nauk młodzieńca, lecz rozbudziła w nim powołanie zakonne i nieprzeciętny zapał do wiary. I oto w r. 1825, młody Stacewicz wstąpił do dominikanów, a w r. 1826 złożył już w Poporciach profesję zakonną. Studja zakonne *frater Dominicus* skończył w Petersburgu ze stopniem licencjata teologii, kształcąc się jednocześnie (1830—1833) na wydz. hist.-filog. uniwersytetu petersburskiego, gdzie uzyskał znowu stopień kandydata filologii, poczem w r. 1833 został wyświęcony na kapłana.

Z kolei sam zaczął uczyć w szkołach zakonnych i pracować kaznodziejsko. W ll. 1853—1859 jest podprezorem, a w ll. 1859—1865—prezorem.

Rektorem akademii zostaje według ks. J. Wasilewskiego w r. 1865 (w r. 1864 według Wołyniaka), jednocześnie II członkiem Kolegium Duchownego.

Prawdziwem nieszczęściem było dla o. Stacewicza, że czas, gdy kształtowała się jego ideologia kapłańsko-obywatelska, był okresem panowania w duchowieństwie naszym zasad józefinizmu, które szczególnie musiały być niebezpieczne dla pokolenia,

co niezorientowane wyrosło świeżo po katastrofie rozbiórów kraju, a dla duchowieństwa w dobie posieścieńcewiczowskiej. O. Stacewicz bynajmniej nie był twórcą tego systemu, był raczej jego ofiarą i niewolnikiem.

Pod wpływem płynącej z Rosji sugestji o mistycznej: wielkości państwa carów, będącego najpotężniejszą zaporą i obroną przed wpływami destrukcyjnymi, uległ widać ks. Stacewicz mniemaniu, że mniejsza już o to, jaki będzie odtąd język w dodatkowym nabożeństwie katolickim na Białorusi, byleby ostała się sama zagrożona w swoim bycie wiara. Inna rzecz, że mógł ks. Stacewicz czasem przeholować w narzuconej sobie ugodości.

Zasadniczo o. Stacewicz był do końca życia katolikiem prawowiernym, szczerze wierzącym a pobożnym kapłanem i dobrym a przywiązany do idei dominikańskiej zakonnikiem.

Archiwista.

Bibliografia.

Alachnowicz. F. *U kapciuroch G. P. U.* Wilnia, 1939.

Jesienią roku ubiegłego wyszedł wreszcie nakładem autora białoruski przekład—naprawdę autoryzowany—rozgłosnej dziś, bo przełożonej już na kilka języków książki zdolnego białoruskiego literata Franciszka Alechnowicza „W szponach G.P.U.” Ponieważ pisaliśmy o niej na szpaltach „Przeгляду Wileńskiego” raz po okazaniu się oryginału, drugi—po wyjściu w świat przekładu rosyjskiego, nie chcemy się powtarzać, omawiając treść lub formę dziełka. Zatrzymamy się jeno na chwilę nad obecnym wydaniem białoruskim.

Robiący czasem wrażenie sennego, szarego, mało obrazowego język białoruski pod piórem Alechnowicza przemienia się wnet w żywy, barwny a plastyczny. Czyż nie dźwięczy i nie lśni swoicie chociażby sam tytuł książeczki „U kapciuroch G.P.U.”? Wszak brzmi on znacznie mocniej, ujawnia większą plastyczność ludową i posiada silniejszą dynamikę niż inteligentko stonowane polskie „W szponach...” lub mało mocniejsze rosyjskie „W kogtiach...”. Nikt chyba lepiej nie zna wszelkich pazurów i szponów, nikt nie zawdzięcza tyle swoim pokruszonym paznogociom i twardym, co Białorusin. Życie bowiem jego upływa w ciągłym wrywaniu ze szponów losu lepszej dla siebie doli, w walce ze szkodnikami bądź jego pól, łąk i zagajników, bądź rzek, jezior i stawów. *Szpon i kogot'* z brzmienia swego tylko rwą, gdy *kapciur* nietylko porywa coś, lecz i trzyma zazdrośnie, mając uciechę sadystyczną w przedwlekaniu cierpień swych ofiar w nieskonczoność. A to właśnie jest tak charakterystyczne dla trybunału czerwonej inkwizycji, kryjącego się przed dalszym światem za trójlistkiem G.P.U.

Obrazki bytu sowieckiego u Alechnowicza tchną dużą szczerością. Nie są przeładowane szczegółami natury opisowej. Każdy z nich wprowadza czytelnika od razu *in medias res*. Autor nie odmalowuje tła, najwyżej powie w kilku słowach jak ono wygląda. Narracja trzyma czytelnika stale w napięciu. To wszystko umiało zdobyć czytelników i wprowadziło te „szkice węglem” na rynek księgarski zagranicą.

Autor wszędzie zaznacza swoją narodowo bezkompromisową białoruskość, acz zgoła się nie wypowiada politycznie.

Pamiętamy nędzny papier, bezbarwną okładkę, skromne czcionki oryginału..., a dziś cieszymy się, że szata zewnętrzna przekładu białoruskiego jest zupełnie estetyczna.

Oby „U kapciuroch G.P.U.” zdobyło wstępnym bojem czytelnika białoruskiego.

* * *

Alachnowicz Fr. *7 lit na Sołowkach.* Lwów 1937.

U schyłku r. ub. nakładem spółki wydawniczej „Diło” we Lwowie wyszedł ukraiński przekład omówionej wyżej książki Fr. Alechnowicza. Ukraińcy zainteresowali się bezpośrednio wrażeń z pobytu na Sołowkach białoruskiego literata i przyswoili tę książkę przez dobry przekład swojemu piśmiennictwu. Najlepszym poleceniem książki niniejszej dla czytelnictwa ukraińskiego będzie podtytuł: *Spomini biłoruśkoho di-jacza pro martirologiju u Sovitach.*

Wydawnictwo od siebie poprzedziło książkę mo-

że najpełniejszym z istniejących a ciekawym życiorysem Franciszka Alechnowicza, gdzie też można znaleźć bodaj całkowitą bibliografię jego urozmaiconej twórczości. Autor wstępu przeprowadza porównanie między Alechnowiczem a Jurcenkiem (por. *Fiekto na ziemi*), między białoruskimi Taraszkiewiczami a ukraińskimi Kruszelnickimi, których osobista tragedia w Sowieciech zwiększyła jeszcze tragedia obojga narodów.
A Sołoduch.

Hryniewicz K. *O patriotyzmie i znaczeniu ludzkości.* Warszawa, B. r.

Autor tej broszury miał na celu oczyszczenie pojęcia „patriotyzm” od naleciałości, jakie jemu przypisują różnego rodzaju szowiniści, i wykazanie bliskiego pokrewieństwa między prawdziwym patriotyzmem a moralnością czyli etyką zbiorową, czyniąc w ten sposób próbę ściślej definicji tego pojęcia z wytknięciem granicy między nim, a nacjonalizmem i t. p.

Autor dochodzi do wniosku, że przez łagodzenie antagonizmów narodowościowych i międzynarodowych można dojść do względnej pomyślności narodów i ludzkości. Natomiast obecna gorączka państw totalnych w wyścigach imperjalistycznych, w wyścigach niepomiernej chciwości i zaborczości leży niechybna katastrofa światowa. Autor jednak nie zaprzecza temu, że w pewnych momentach życia narodu może nastąpić konieczność stosowania egoizmu, ale zastrzega się, że taki zabieg nie należy wtedy nazywać świętem imieniem patriotyzmu, który w całości jest tylko ofiarnością i poświęceniem, a nazwać go tem, czem on jest: „egoizmem narodowym, koniecznością narodową, koniecznością państwową” i t. p.

Treść broszury nie jest powtarzaniem szablonowym zdań skądinąd znanych i cenionych pisarzy. Całość jest przemyślana od początku do końca samodzielnie i dlatego czytelnik z pewnością nie będzie żałował czasu na jej przeczytanie.

Nabyć ją można po cenie 20 groszy u autora: Warszawa, ul. Jakubowskiego Nr. 8 m. 1.

cz.

„Historja Litwy”

Organ Instytutu Bałtyckiego „*Jantar*”, w zeszytach Nr. 4, który się ukazał w Gdyni w grudniu u. r., w obfitym dziale sprawozdawczym zamieścił źródłową recenzję prof. S. Zajączkowskiego o wydanej pod redakcją A. Śapoki przez Ministerstwo Oświaty w Kownie obszernej „*Lietuvos istorija*”.

„Bujnie rozwinęła się—pisze prof. Zajączkowski—produkcja naukowa w zakresie historii w młodem państwie litewskim... O jej rozwoju świadczą rozliczne studia monograficzne, artykuły naukowe i popularno-naukowe, czasopisma oraz wydawnictwa źródeł. Jest to wynikiem dążności historyków litewskich do poddania rewizji poglądów naukowych, które zostały ustalone poprzednio przez badaczy polskich, rosyjskich i niemieckich, tudzież do sformułowania samodzielnego poglądu na przyszłość narodu i państwa litewskiego. Nic więc dziwnego, że w tym stanie rzeczy przez długi czas było rzeczą przedwczesną przystępować do opracowania całokształtu dziejów litewskich, O ile chodzi więc o syntezę przeszłości litewskiej, to przez lat prawie 20 zadowalano się na Litwie reedycjami „*Historji Litwy*” „A. Alekny albo skrótami lub

popularnemi opracowaniami dziejów litewskich”.

To wszystko, jak stwierdza prof. Zajączkowski, nie mogło zaspokoić ambicji historyków litewskich i zadośćuczynić potrzebie stworzenia syntezy dziejów Litwy w duchu litewskim, to też w r. 1935, z inicjatywy Min. Oświaty, utworzono Komisję dla opracowania podręcznika o charakterze naukowo-popularnym, przeznaczonego zarówno dla szkół wyższych, jak i dla wykształconego ogółu. W skład wspomnianej Komisji weszli: A. Šapoka, który był poprzednio redaktorem zbiorowej monografii o Władysławie Jagiello, P. Sležaj, redaktor podobnego wydawnictwa o W. kr. Witoldzie, dr. Z. Ivinskis, docent Uniwersytetu Kowieńskiego oraz dwaj inni historycy: P. Klimas i J. Jakštas.

Rezultatem zbiorowego wysiłku wspomnianych uczonych było ukazanie się w r. 1936 pracy pod tytułem podanym wyżej i wydanej w starannej szacie zewnętrznej oraz objaśnionej licznymi, dobrze dobranymi i starannie wykonanymi ilustracjami w liczbie ponad 200. W końcu do tekstu dodane są trzy mapy.

Omawiana praca składa się z 9 części, z których pierwsza stanowi obszerny wstęp, siedem dalszych obejmuje poszczególne chronologiczne odcinki dziejów Litwy, ostatnia zaś poświęcona jest losom poszczególnych grup narodu litewskiego, oddzielonych od swojej macierzy.

Prof. Zajączkowski omawia pokrótce i bezstronnie wymienione części, kończąc swe sprawozdanie następującą konkluzją:

„Synteza przeszłości Litwy, zawarta w omawianej pracy zbiorowej przeciwstawia się w wielu punktach poglądom ustalonym w dotychczasowej nauce polskiej; wiele mówiący jest pod tym względem szczególnie, że praca ta ukazała się jako bezpłatny dodatek do czasopisma „Musu Vilnius” (Nasze Wilno), które jest najsilniejszym wyrazicielem imperjalistycznych tendencji współczesnej Litwy w stosunku do Polski.

Z tych względów praca niniejsza zasługiwałaby na szczegółowe krytyczne omówienie, na co niema jednak miejsca w niniejszym sprawozdaniu. W każdym jednak razie pracę tę należy powitać z uznaniem, jako duży wysiłek młodej nauki litewskiej i uznać za ważną pozycję w rozwoju historycznej literatury Litwy”.

Od 10 lat przeszło wychodzi w Warszawie dwumiesięcznik „Sprawy Narodowościowe”, wydawany przez „Instytut Badań Spraw Narodowościowych”, a poświęcony przedewszystkiem mniejszościom narodowym w Polsce,

Parokrotnie w „Przeglądzie Wileńskim” zamieszczone zostały krytyczne uwagi pod adresem powyższego wydawnictwa, jeszcze za życia ś. p. Marjana Świechowskiego, który we wspomnianym „Instytucie” odegrał wybitną rolę. Jesteśmy jednak pewni, że gdyby M. Świechowski nie zginął śmiercią tragiczną i dotąd miał wpływ na kierunek i charakter „Spraw Narodowościowych” to pismo nie upadłoby tak nisko.

Nie można nie użyć tego określenia, gdy się czyta w Nr. 4—5, który się ukazał w końcu stycznia b. r., sprawozdanie z głośnego procesu Konstantego Staszysa, b. prezesa b. Litewskiego Komitetu Narodowego w Wilnie.

Trudno o większą tendencyjność. Bardzo szczegółowo przytoczony został akt oskarżenia i niemniej szczegółowe zeznanie Bauermanna, urzędnika województwa wileńskiego, która

było oparte na „kontroli działalności stowarzyszeń litewskich oraz obserwacji prac w terenie...” Natomiast o zeznaniach innych świadków w artykule niema ani słowa. Również nie wspomniano o tem, że Sąd Okręgowy, skazując K. Staszysa jedynie za wykroczenia przeciwko dekretowi dewizowemu, nie uznał jego „przestępczej działalności”, o której szeroko się rozwodził zarówno akt oskarżenia jak pan Bauermann.

Czyżby ten pan był również współpracownikiem „Spraw Narodowościowych”?

Książki nadesłane do Redakcji.

Abramowicz Sophie. *Études sur les hymnes Homériques* Rozprawy i materiały Wydziału I T-wa Przyjaciół Nauk. T. IX. Z. I. Wilno. 1937.

Małunowicz Leocadia. *De ara Victoriae in curia Romana quomodo certatum sit.* Rozprawy i materiały Wydziału I T-wa Przyjaciół Nauk T. IX. Z. II. Wilno. 1937.

Mackiewicz Józef. *Bunt rojstów.* Wilno. 1938.

Niepokoyczycki Kazimierz. *Słowacy i Czesi.* Zarys stosunków. Wyd. „Myśli Polskiej” Warszawa. 1937.

Rodowód prawdy Lewicy Patrijotycznej. Nakładem Komisji Propagandowej Związku Lewicy Patrijotycznej. Warszawa. 1937.

Alechnowicz Franciszek. *U kapciuroch G. P. U.* Wilnia 1937.

Alechnowicz F. *7 lit na Sałowkach.* Lwów. 1937.

Mackevičius R. *Sunkus Kelias.* Apysaka. „Viln. Rytėjais” leidinys N 9. Vilnius. 1937.

Komunikat Nr. 7 Biełaruskago Narodnaho Abjednannia.

Mackevičius R. *Dvidešimt metų. (1918—1938).* Vilnius. —1938.

Od Wydawnictwa.

Jak przewidywaliśmy, stan zdrowia Redaktora w dalszym ciągu nie pozwala nam na wydawanie pisma dwa razy w miesiąc, jak to praktykowaliśmy przez szereg lat. Nie możemy nawet jeszcze, niestety, ustalić trybu wydawniczego i zobowiązać się do regularnego wydawania pisma chociażby raz na miesiąc. W styczniu, jak zamierzaliśmy, nie udało się nam wydrukować pierwszego numeru w roku bieżącym. Wychodzi on dopiero obecnie w połowie lutego. Następny numer ukaze się zapewne w marcu.

Oczywiście w tych warunkach o prenumeracie nie może być mowy. Prosimy tylko jeszcze raz naszych dotychczasowych odbiorców o powiadomienie nas, czy życzą sobie nadal otrzymywać pismo, regulując należność, gdy Administracja nadeszle rachunek.

Ostatni numer z ubiegłego roku (Nr 9) został również skonfiskowany za artykuł p. t. „Fantazja polityczna”.

